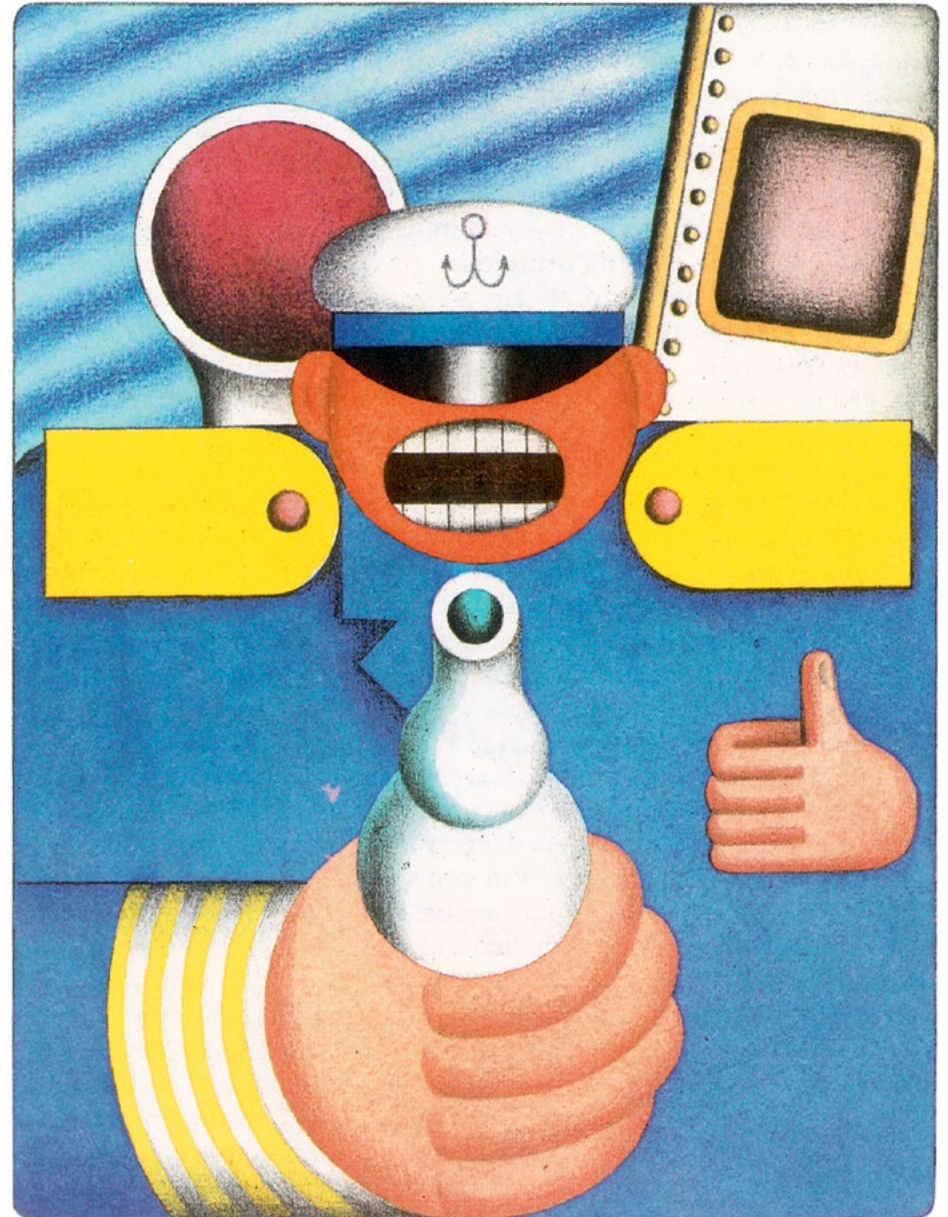


KSIĘGA PIERWSZA
**ANDRIAS
SCHEUCHZERI**

1**Dziwactwa kapitana van Tocha**

kapitan van Toch

Gdybyście chcieli odszukać na mapie wysepkę Tana Masa, znaleźlibyście ją na samym równiku, nieco na zachód od Sumatry. Ale gdybyście na pokładzie statku Kandong-Bandoeng spytali kapitana van Tocha, co to właściwie jest ta Tana Masa, przed którą właśnie zakotwiczył – kłąby dobrą chwilę, a potem by wam powiedział, że to najobrzydliwsza dziura na całych Wyspach Sundajskich, znacznie podlejsza niż Tana Bala, a co najmniej tak samo ohydna jak Pini czy Banjak. Że jedyny, z przeproszeniem, człowiek, który tam żyje – nie licząc oczywiście tych wszawych Bataków – to pijaczyna, agent handlowy, mieszaniec Portugalczyka i Kubanki, ale znacznie gorszy złodziej, poganin i wieprz niż cały Kubańczyk i cały biały razem wzięci! I jeżeli na świecie jest w ogóle coś przekłętogo, to chyba właśnie takie przekłete życie na tej przekłetej Tana Masa! Gdybyście go oględnie spytali, dlaczego wobec tego zarzucił przekłętą kotwicę, jakby miał zamiar tu zostać całe przekłete trzy dni – fuknąłby na was z pasją i burczałby pod nosem mniej więcej tak:

– Przecież Kandong-Bandoeng nie płynęłaby tutaj tylko po tę przekłętą kopre czy olej palmowy... Też sens!... A zresztą co panu do tego, mój panie! Ja, panie, mam swoje przekłete rozkazy! Niech pan lepiej pilnuje własnych spraw... – A wymyślałby tak dosadnie i soczyście, jak to tylko starszy, chociaż jeszcze na swój wiek czerstwy kapitan statku potrafi.

Gdybyście natomiast, zamiast stawiać niedyskretne pytania, pozwolili, by kapitan van Toch mruczał pod nosem i kłął do woli, moglibyście się dowiedzieć czegoś więcej. Wiadomo: musi się wygadać, by sobie ulżyć. Zostawcie go więc w spokoju, a jego rozgoryczenie samo znajdzie ujście.

– No i niech pan pomyśli, panie... – warczał kapitan – te łajdaki u nas w Amsterdamie, te przekłete handełesy z dyrekcji, nagle sobie przypomniały: „Perły, człowieku, niech się pan rozejrzy za jakimiś perłami!...”. Bo podobno teraz ludziska szaleją za perłami i tego...

Kapitan splunął z goryczą.

– Ano, wiadomo... Lokować forszę w perłach! A to wszystko dlatego, że ludziom wciąż się zachciewa wojen i czego tam. Więc boją się o pieniądze, ot i cała historia... To się nazywa kryzys, panie.

Zawahał się chwilę, jakby się namyślał, czy warto podejmować dyskusję o sprawach gospodarczych. Bo przecież teraz się w ogóle o niczym

innym nie gada... Tylko że tutaj, przed Tana Masa, za gorąco na to, nawet się człowiekowi nie chce. Więc machnął tylko ręką i mruczał dalej:

– Łatwo powiedzieć: perły! Panie, przecież na Cejlonie ogołocili z nich morze na jakie pięć lat. Na Formozie w ogóle zabronili połowów. A ci tymczasem: „Kapitanie van Toch, niech się pan rozejrzy za jaką nową ławicą... Niech pan pojedzie na te przekłete wysepki. Może pan trafi na jakieś nowe złoża perłopławów...”. – Kapitan hałaśliwie wytarł nos w niebieską chustkę. – Te szczury, tam w Europie, wyobrażają sobie, że tu można znaleźć jeszcze coś, o czym dotąd nikt nie słyszał! Jezus Maria, cóż to za krety! Dobrze jeszcze, że nie żądają ode mnie, bym Batakom zaglądał w nosy, czy nie smarkają perłami... Nowe ławice! W Padangu jest nowy burdel, owszem, ale nowa ławica?... Panie, ja tutaj te wszystkie wysepki znam jak własną kieszeń... Od Cejlonu aż po tę przekłętą Cliperton Island... Jeśli ktoś myśli, że tu się jeszcze znajdzie coś, na czym można by zarobić, no to – powodzenia!... Ja już, panie, trzydzieści lat tu pływam, a te durnie teraz chcą, żebym tu zrobił jakieś odkrycie!...

Van Toch dusił się wprost z pasji na myśl o tych beczelnych pretensjach.

– Niech sobie tu wyślą jakiego żółtodzioba... Ten to dopiero robi rewelacyjne odkrycie, aż im oko zbieleje. Ale podobne propozycje stawiać człowiekowi takiemu jak kapitan van Toch, który zna tu każdy kątek... Bo niech pan tylko pomyśli, panie. W Europie to jeszcze można by coś wyłapać... Ale tutaj?... Przecież tu ludziska przyjeżdżają tylko po to, by wywęszyć, gdzie się co da zeżreć. A nawet nie tyle zeżreć, co kupić i sprzedać. Panie, gdyby w tych całych tropikach było jeszcze cokolwiek wartego choć dziesięć centów, to już by tam stało trzech agentów i machało zasmarkanymi chustkami na statki siedmiu państw, żeby się zatrzymały. Tak to jest, mój panie. Ja się na tym dużo lepiej znam niż, z przeproszeniem, cały Urząd Kolonialny jej królewskiej mości...

Kapitan van Toch wysiłkiem woli starał się opanować święte oburzenie. Udało mu się to po dobrej chwili burczenia.

– Widzi pan tych tam dwóch nicponiów? To poławiacze pereł z Cejlonu, Syngalezi. Nie karz mnie, Panie Boże! Pan Bóg ich stworzył, ale po co – nie wiem. Wożę to ze sobą i gdziekolwiek tylko znajdę kawałek

wybrzeża, gdzie nie ma napisu „Agencja” albo „Urząd Celny”, puszczam to do wody, by szukało muszli perłopławów. Ten mniejszy fajdak nurkuje na osiemdziesiąt metrów. Tutaj na Wyspach Książęcych z głębokości dziewięćdziesięciu metrów wyłowił korbę od aparatu kinematograficznego, panie, ale perły... Gdzie tam! Szkoda gadać! Nikczemna hałastrą, ci Syngalezi. I to ja mam robić taką robotę, panie: udawać, że skupuję olej palmowy, a tymczasem szukać nowych złóż pereł! A tamci by jeszcze pewnie chcieli, żebym odkrył jakiś dziewiczy ład, co? Przecież to nie jest zajęcie dla przyzwoitego kapitana statku handlowego. Kapitan J. van Toch to nie żaden tam awanturnik, mój panie, o nie!

I tak dalej... Morze jest wielkie i ocean czasu nie ma granic. Pluj na morze, człowieku, lecz ono się nie wzburzy. Urągaj na swój los, ale go nie odwróćisz...

Po wielu przygotowaniach i ceremoniach skończyło się na tym, że kapitan statku holenderskiego Kandong-Bandoeng, wzdychając i klnąc, wszedł do łódki. Wylądował w kampungu na Tana Masa i zaczął pertraktować z tym pijakiem, mieszańcem Portugalczyka i Kubanki, na temat rozmaitych spraw handlowych.

– *Sorry, captain* – rzekł wreszcie mieszaniec – ale tutaj, na Tana Masa, żadnych muszli nie ma. Te brudasy, Batakowie – mówił dalej z odrazą – jadają nawet i meduzy. Więcej to siedzi w wodzie niż na ziemi. A kobiety śmierdzą rybami, niech pan sobie wyobrazi... Aha, co to ja jeszcze miałem powiedzieć? No tak... Pan pytał o kobiety.

– A nie ma tu nigdzie kawałka brzegu, gdzie by Batakowie nie włązili do wody? – pytał dalej kapitan.

Mieszaniec Portugalczyka i Kubanki pokręcił głową:

– Nie ma, panie. Chyba Devil Bay, Zatoka Diabelska, ale to nie dla pana.

– Dlaczego?...

– Dlatego... że tam nie wolno, panie. Nalać panu, kapitanie?

– *Thanks*. Co tam takiego? Rekiny?

– Rekiny... i w ogóle... – mruknął mieszaniec. – To niedobre miejsce, panie. Batakowie nie chcieliby, żeby ktoś tam łąził.

– Czemu?

– Tam są diabły, panie. Morskie diabły.

– Co to morski diabeł? Ryba?

– A gdzie tam ryba! – zaprzeczył niechętnie mieszaniec. – Zwyczajny diabeł, panie. Diabeł podmorski. Batakowie nazywają go *tapa*. *Tapa*... One tam podobno mają swoje miasto, te diabły... Dolać panu?...

– Jakże to wygląda... taki diabeł morski?

Mieszaniec wzruszył ramionami.

– Tak jak diabeł, panie. Widziałem kiedyś takiego... a właściwie jego głowę. Wraciałem łódką z Cape Haarlem... i naraz przede mną wyskoczył z wody taki łeb...

– No i?... Do czego był podobny?

– Głowę to ma... jak Batak, panie, tylko całkiem gołą.

– Może to był po prostu Batak?

– Nie, panie. Przecież w tym miejscu żaden Batak nie włązłby do wody. A zresztą... to mrugało na mnie dolnymi powiekami, panie. – Mieszaniec wzdrygnął się ze zgrozy. – Tak, dolnymi powiekami; zakrywają prawie całe oko. To właśnie był ten... *tapa*.

Kapitan J. van Toch grubymi paluchami objął szklanekę z winem palmowym.

– A pijany pan nie był, co? Może pan był zalany?

– Byłem, panie. Inaczej bym tamtędy nie płynął. Batakowie bardzo nie lubią, gdy ktoś te... diabły zaczepia.

Van Toch potrząsnął głową.

– Człowieku, przecież żadnych diabłów nie ma! A gdyby nawet były, wyglądałyby jak Europejczycy. To na pewno była jakaś ryba czy coś takiego.

– Ryba!... – obruszył się mieszaniec Portugalczyka i Kubanki. – Ryba jest bez rąk, panie. Ja nie jestem przecież Batak, chodziłem w Badjoeng do szkoły... Chyba nawet pamiętam coś z dziesięciu przykazań i innych udowodnionych naukowo faktów. Człowiek wykształcony rozróżni chyba, co diabeł, a co zwierzę. Niech pan zresztą zapyta Bataków.

– Et, takie tam murzyńskie zabobony! – oburzył się kapitan z dobroduszną wyższością człowieka wykształconego. – Z naukowego punktu widzenia to absurd. Przecież diabeł nie może żyć w wodzie. Bo co by tam robił? A ty nie zwracaj uwagi na bajdy tubylców, chłopcze. Ktoś nazwał

tę zatokę Zatoką Diabelską i od tego czasu Batakowie się jej boją. I stąd cała historia – zakończył kapitan, uderzając tłustą dłonią w stół. – Nic tam nie ma, chłopcze. To sprawa zupełnie jasna.

– Jest, panie – upierał się mieszaniec, który chodził do szkoły w Badjoeng. – I rozsądny człowiek nie ma czego szukać w Devil Bay.

Kapitan van Toch poczerwieniał.

– Co?! – wrzasnął. – Ty kubański brudasie, co ty sobie myślisz? Że ja się będę bał tych twoich diabłów? No, to zobaczymy! – rzucił, podnosząc się z całą okazałością swych zażywnych dwustu funtów. – Nie będę tu z tobą marnował czasu, mam sprawy do załatwienia. Ale zapamiętaj sobie jedno: w holenderskich koloniach żadnych diabłów nie ma. Jeżeli gdzieś jakieś są, to tylko we francuskich. Tam sobie mogą być. A teraz wołaj mi tu naczelnika tego przekłętego kampungu.

Owego dygnitarza nie trzeba było nawet długo szukać: siedział sobie w kucki obok sklepu mieszańca i żuł trzcinę cukrową. Był to nagi staruszek, znacznie szczuplejszy, niż bywają naczelnicy w Europie. Nieco za nim, zachowując odpowiedni dystans, siedziała w kucki cała wieś wraz z kobietami i dziećmi, licząc widocznie, że będzie filmowana.

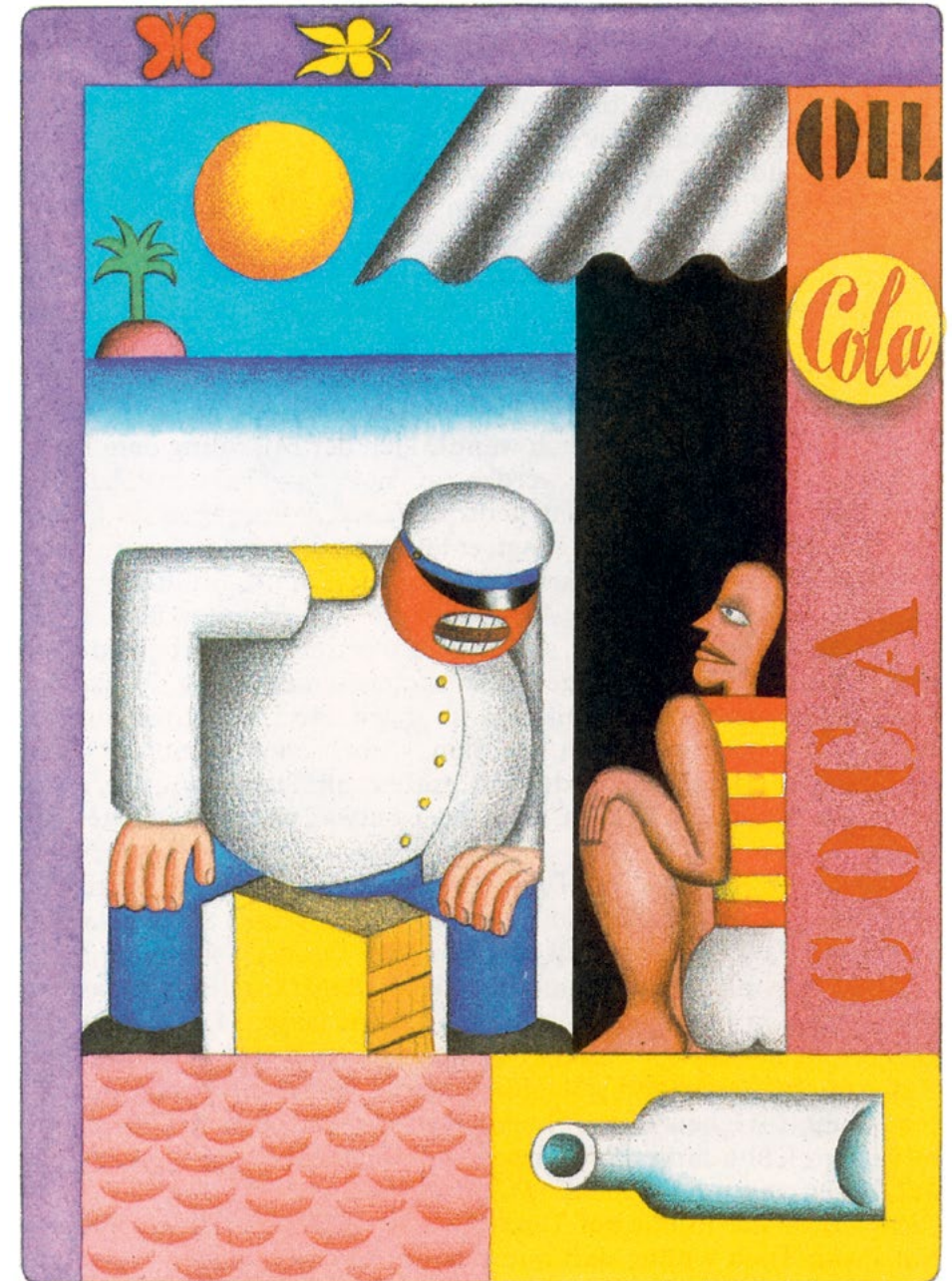
– Słuchaj no, chłopcze – odezwał się van Toch po malajsku. (Mógł równie dobrze mówić po holendersku lub angielsku, gdyż czcigodny stary Batak nie znał ani słowa po malajsku, więc mieszaniec i tak musiał tłumaczyć całą przemowę kapitana na język Bataków. Z jakichś jednak przyczyn kapitan uważał język malajski za odpowiedniejszy). – Słuchaj no, chłopcze, potrzeba mi paru tęgich, wysokich, solidnych chłopaków, żeby poszli ze mną na połów. Rozumiesz: na połów!

Mieszaniec przetłumaczył, naczelnik kiwnął głową na znak, że rozumie. Potem zwrócił się do szerszego audytorium i palnął mówkę, która odniosła duży sukces.

– Naczelnik powiada – tłumaczył mieszaniec – że cała wieś pójdzie z tuanem kapitanem na połów, dokąd tylko tuan zechce.

– No widzisz. To im teraz powiedz, że pojedziemy łowić muszle w Devil Bay.

Rozpoczęły się trwające dobry kwadrans gorączkowe debaty, w których brała udział cała wieś, a zwłaszcza stare baby.



kapitan van Toch

mieszaniec Portugalczyka i Kubanki

W końcu mieszaniec zwrócił się do kapitana:

– Mówią, panie, że do Devil Bay nie wolno iść.

Kapitan poczerwieniał.

– A dlaczego nie?

Mieszaniec wzruszył ramionami.

– Bo tam są *tapa-tapa*. Te diabły, panie.

Twarz kapitana zrobiła się fioletowa.

– To ty im powiedz, że jeśli nie pójdą... to im powybijam wszystkie zęby... poobrywam uszy... powywieszam... i spalę ten ich zawszony kampung... Rozumiesz?

Mieszaniec przetłumaczył dosłownie. Rozpoczęła się znowu gwałtowna narada. Wreszcie mieszaniec zwrócił się do kapitana:

– Mówią, że pójdą na skargę do policji w Padangu, że tuan im grozi. Podobno są na to jakieś paragrafy. Naczelnik mówi, że tego nie daruje.

Kapitan van Toch zrobił się siny.

– Powiedz mu – ryknął – że jest... – i mówił jednym tchem dobrych jedenaście minut.

Mieszaniec tłumaczył, póki słów starczyło. Po nowej, dość długiej, ale rzeczowej naradzie Bataków zakomunikował kapitanowi:

– Mówią, panie, że odstąpią od ścigania na drodze sądowej, jeżeli tuan kapitan zapłaci karę na ręce władz miejscowych. Chcą – zawahał się – dwieście rupii... Ale to trochę dużo, panie. Niech im pan zaproponuje pięć.

Rumieńce kapitana van Tocha zaczęły zmieniać się w brązowe plamy. Początkowo zaproponował wymordowanie wszystkich Bataków na całym świecie, potem zszedł do trzystu kopniaków, wreszcie gotów był zadowolić się wypchaniem naczelnika dla muzeum w Amsterdamie. Natomiast Batakowie z dwustu rupii zeszli do żelaznej pompy z kołem, a ostatecznie zdecydowali, że kapitan da naczelnikowi tytułem kary zapalniczkę benzynową.

– Niech im pan da – namawiał mieszaniec Portugalczyka i Kubanki. – Ja mam trzy zapalniczki na składzie, tylko bez knotów...

W ten sposób na Tana Masa znów zapanował pokój. Ale kapitan van Toch wiedział, że tutaj toczy się gra o prestiż białej rasy.

Po południu od holenderskiego statku Kandong-Bandoeng odbiła łódź. Siedzieli w niej: kapitan van Toch, Szwed Jensen, Islandczyk Gudmundson, Fin Gillemainen i obaj syngalescy poławiacze pereł. Łódź pomknęła wprost ku Devil Bay.

O godzinie trzeciej, gdy zbliżał się kulminacyjny punkt odpływu, kapitan stał na łodzi, łódź krążyła sto metrów od brzegu, by obserwować rekiny, a obaj syngalescy poławiacze czekali z nożami w ręku na sygnał, by skoczyć do wody.

– No, teraz ty! – rzucił kapitan rozkaz wyższemu nagusowi.

Syngalez skoczył do wody, przebiegł parę kroków i zniknął. Kapitan spojrzął na zegarek.

Za cztery minuty i dwadzieścia sekund o sześćdziesiąt metrów w lewo wynurzyła się z wody czarna głowa. Z jakimś dziwnym, rozpaczliwym, a zarazem konwulsyjnym pośpiechem Syngalez gramolił się na skały, trzymając w jednym ręku nóż do odcinania muszel, w drugim muszlę perłopławu.

Kapitan zmarszczył brwi.

– No, co jest? – rzekł surowo.

Syngalez wciąż jeszcze wspinał się na skały, głośno jęcząc z przerażenia.

– Co się stało?! – krzyknął kapitan.

– *Sahib... sahib...* – wykrztusił Syngalez, padając na brzeg i ciężko dysząc. – *Sahib... sahib...*

– Rekiny?

– Dżiny... – wyjąkał Syngalez. – Diabły, panie. Tysiące diabłów! – Pakował pięści w oczy. – Same diabły, panie.

– Pokaż tę muszlę – polecił kapitan. Otworzył: była w niej mała czysta perełka. – A więcej nie znalazłeś?

Syngalez wydobył jeszcze trzy muszle z woreczka wiszącego na szyi.

– Tam są muszle, ale te diabły ich pilnują... Tak się na mnie patrzyły, jak je odrzynałem... – Kędzierzawe włosy zjeżyły mu się z przerażenia. – Nie, *sahib*, tutaj nie...

Kapitan otworzył muszle: dwie były puste, w trzeciej znajdowała się perła wielkości grochu, okrągłutka jak kropelka rtęci. Kapitan van Toch spoglądał to na perłę, to na skulonego na ziemi Syngaleza.